

ARTHUR CONAN DOYLE

GROŹNA MASZYNA

TLUMACZYŁ BRONISŁAW FALK

Profesor Challenger był w humorze możliwie najgorszym. Stojąc we drzwiach jego pracowni, z ręką na kłamce i nogą na dywanie, usłyszałem monolog, wypowiedziany grzmiącym głosem, którego echo rozlegało się donośnie w całym domu.

— Tak, to już drugie niepotrzebne wezwanie. Drugie dzisiejszego ranka. Czy pan sobie wyobraża, że człowiek nauki ma czas odrywać się od ważnej pracy i spieszyć do telefonu na każde wezwanie jakiegoś idjoty? Nie życzę sobie tego. Proszę natychmiast posłać po kierownika. Ah! Pan jest kierownikiem. Dlaczego pan tego nie dopilnuje? Dlaczego pan nie dopilnuje, aby nie odrywano mnie od pracy, której znaczenia mózg pański pojąć nie potrafi! Proszę zawezwać dyrektora! Niema go? Tak przypuszczałem. Zaskarżę pana do sądu, jeśli się to jeszcze raz przytrafi. Ni dam drwić z siebie. Zażalenie na piśmie? Zastanowię się nad tem. Do widzenia!

W tem miejscu zdecydowałem się wejść do środka. Chwila była niezbyt szczęśliwie wybrana. Stałem prze nim, kiedy odwrócił się od telefonu — prawdziwy lew w gniewie. Jego wielka, czarna broda najeżyła się, potężne piersi dyszały z oburzenia, a jego beczelne, szare oczy mierzyły mnie od stóp do głowy, kiedy wyładowywał resztki swej wściekłości.

— Przekłete, leniwe, przepłacone łajdaki! — ryczał. — Słyszałem, jak śmieli się, kiedy wnosiłem moje słuszne zażalenie. Uknuli spisek, aby mnie dręczyć. A teraz ty, Malone, przychodzisz, aby mi zepsuć do reszty ten nieszczęśliwy ranek. Powiedz, czy składasz mi zwyczajną wizytę, czy też chodzi ci o interview na rachunek tej twojej szmaty? Jako przyjaciel masz pewne przywileje — jako dziennikarz stoisz poza nawiasem.

Zacząłem szukać w kieszeni listu McArdle'a, kiedy nagle przypomniał sobie coś nowego. Jego wielkie, włochate ręce przetrząsały przez chwilę papiery na biurku, i w końcu znalazły wycinek z gazety.

— Byłeś tak dobry wspomnieć o mnie w jednym ze swoich wypracowań — rzekł, podnosząc do góry papier. — Mam na myśli twoje niezbyt mądre uwagi na temat świeżych wykopalisk w Solenhofen. Rozpocząłeś ustęp słowami: „J. E. Challenger, jeden z naszych największych uczonych”.

— I cóż, sir? — zapytałem.

— Skąd te zawistne określenia i ograniczenia? Może mi wymienisz nazwiska tych wybitnych uczonych mężów, których uważasz za równych mi względnie wyższych ode — mnie?

— Źle się wyraziłem. Powinienem był powiedzieć: „Nasz największy żyjący uczony”, dodałem. Ale działałem w dobrej wierze. — Słowa moje zmieniły zimę w lato.

— Drogi mój przyjacielu, nie sądz, że jestem wymagający, ale otacza mnie tylu wojowniczych i nierozsądnych kolegów, że muszę upominać się o to, co mi się słusznie należy. Nie znoszę zarozumiałości, ale uważam za konieczne stawić czoło przeciwnikom. Chodź teraz! Siadaj! Co jest powodem twojej wizyty?

Musiałem działać oględnie, gdyż wiedziałem, jak łatwo było pobudzić lwa do gniewu. Otworzyłem list McArdle'a. — Czy mogę to przeczytać, sir? List pisał mój wydawca McArdle.

— Przypominam go sobie... Jak na dziennikarza, robi sympatyczne wrażenie.

— Jest w każdym razie pańskim wielbicielem. Zwracał się do pana zawsze, ilekroć chodziło o sprawy pierwszorzędnej wagi. Tak jest i w tym wypadku.

— Czego sobie życzy? — Challenger puszył się, jak dziki ptak, pod wpływem pochlebstwa. Usiadł opierając się łokciami na biurku, ze złożonymi razem małpiemi rękoma, z najeżoną brodą i wielkimi, szaremi oczyma, którymi przyglądał mi się dobrotliwie z pod nawpół zamkniętych powiek. Był jak zawsze imponujący, a jego dobroć robiła jeszcze większe wrażenie, niż złośliwość.

— Przeczytam panu jego list. Pisze:

„Bądź łaskaw złożyć wizytę naszemu znakomitemu przyjacielowi, profesorowi Challengerowi i poproś go o współdziałanie w następujących okolicznościach. W White Friars Mansions, w Hampstead, mieszka Łotysz nazwiskiem Teodor Nemor, który utrzymuje, że wynalazł tajemniczą maszynę, mogącą rozłożyć na atomy każdy przedmiot w obrębie jej działania. Materja ulega rozkładowi i wraca do stanu molekułów lub atomów. Proces ten odbywa się i na odwrót. Sprawa jest w istocie czemś niezwykłym, a jednak mamy świadectwa, że opiera się na pewnych podstawach i że człowiek ten dokonał jakiegoś epokowego wynalazku. Nie potrzebuję podkreślać rewolucyjnego charakteru takiego odkrycia i jego niesłychanego znaczenia, jako groźnej broni w czasie wojny. Mocarstwo, któreby mogło rozkładać na atomy okręty wojenne i unicestwiać bataljony wojska, chociażby na krótki czas, zapanowałoby nad światem. Ze względów społecznych i politycznych należy w czasie możliwie jak najkrótszym zbadać całą sprawę. Człowiek ten chce sprzedać swój wynalazek i dlatego widzenie się z nim nie będzie przedstawiać żadnych trudności. Załączony bilet otworzy drzwi jego domu. Pragnę, abyś pan i profesor Challenger złożyli mu wizytę, oglądnęli jego wynalazek i napisali dla „Gazety” odpowiedni artykuł o wartości odkrycia. Spodziewam się, że dziś w nocy otrzymam od pana odpowiedź. — R. McArdle”.

— Oto moje instrukcje, profesorze — dodałem, składając list. — Mam nadzieję, że wybierze się pan ze mną razem, gdyż nie czuję się na siłach wygłaszać sądów w takiej sprawie — sam.

— To prawda, Malone! To prawda! — mruczał wielki człowiek. — Jakkolwiek nie brak ci inteligencji, zgadzam się z tobą, że sprawa ta przerasta twoje siły. Ci nieznośni ludzie z telefonu zepsuli mi cały ranek tak, że nie zrobi mi to wielkiej różnicy. Przygotowuję odpowiedź temu włoskiemu pyszałkowi, Marottiemu, którego zapatrywania na rozwój larw podzwrotnikowych termitów wzbudziły we mnie pogardę i lekceważenie, ale mogę wstrzymać się ze zdemaskowaniem tego oszusta do wieczora. Tymczasem, jestem do twoich usług.

I tak znalazłem się tego październikowego fanka wraz z profesorem w koleji podziemnej, która nas wiozła w północne dzielnice Londynu na jedną z najciekawszych przygód mego niezwykłego żywota.

Przed wyjazdem z Enmore Gardens stwierdziłem przez „nadużywany” telefon, że człowiek nasz był w domu i zapowiedziałem mu naszą wizytę. Żył w wygodnym mieszkaniu w Hampstead i kazał nam czekać przez całe — pół godziny w przedpokoju, podczas gdy sam prowadził ożywioną rozmowę z grupą gości, których głosy — kiedy w końcu zegnali się w hallu — upewniły mnie, że byli Rosjanami. Widziałem ich przelotnie przez uchylone drzwi i zrobili na mnie wrażenie ludzi bogatych i inteligentnych w swoich płaszczach z kołnierzami astrachanowemi, w błyszczących cylindrach i całym stroju typowych burżujów, który tak chętnie przywdziewa każdy komunista w chwilach pomyślności. Drzwi od hallu zamknęły się za nimi, a w chwilę potem zjawił się Teodor Nemor. Stał w świetle słonecznym, zacierając długie, chude ręce i przyglądając się nam z jowialnym uśmiechem swemi bystromi, żółtawemi oczkami.

Był to niskiego wzrostu, tęgi mężczyzna, którego budowa nasuwała na myśl istnienie jakiegoś kalectwa, chociaż trudno było powiedzieć, na czym polegały jego fizyczne braki. Można by rzec, że był garbusem bez garbu. Jego szeroka, pulchna twarz przypominała niedopieczony budyń, gdyż miała ten sam kolor i konsystencję, podczas gdy zdobiące ją krosty i brodawki uwydatniały się tembardziej na białym tle. Oczy miał kocie i kocie wąsy — długie, cienkie, sztywne nad zmysłowemi, oślinionemi, lepkiemi ustami. Wszystko w nim budziło odrazę aż do brwi koloru piasku. Ponad niemi widniał wspaniały łuk czaszki. Nawet kapelusz Challengeera nadawałby się na tę przepyszną głowę. Dołem można by uważać Teodora Nemora za nędznego, płaszczącego się spiskowca, ale w górze mógł mierzyć się z największymi myślicielami i filozofami świata.

— Panowie przyszli — rzekł, głosem aksamitnym, z ledwie uchwytnym śladem cudzoziemskiego akcentu — o ile wnioskuje z naszej rozmowy telefonicznej, aby dowiedzieć się czegoś o Desintegratorze Nemora. Czy to prawda?

— Tak jest.

— Czy panowie są przedstawicielami Rządu Brytyjskiego?

— Nie. Ja jestem korespondentem „Gazety”, a to jest profesor Challenger.

— Znane nazwisko — europejskie nazwisko. — Jego żółte kły zabłyśły w obleśnym uśmiechu. — Chciałem właśnie powiedzieć, że Rząd Brytyjski stracił dobrą sposobność. Później przekona się, co jeszcze stracił. Może panowanie nad światem. Wynalazek mój byłem gotów sprzedać każdemu Rządowi, któryby mi za niego dobrze zapłacił i jeśli nabyli go ludzie dla was nieprzyjaźnie usposobieni, nie we mnie należy szukać winy.

— A więc pan sprzedał swoją tajemnicę?

— Za odpowiednią cenę.

— I nabywca będzie miał monopol?

— Bez wątpienia.

— Ale o tajemnicy pańskiej wiedzą i inni ludzie.

— Nie, sir. — Dotknął ręką wielkiego czoła. — Tajemnica moja zamknięta jest w tym schowku — a schowek to lepszy, niż zamknięta na klucz stalowa komora. Kilku ludzi zna pewne szczegóły; kilku ma jakieś pojęcie o całej tej sprawie. Ale nikt na świecie poza mną nie wie wszystkiego.

— A ci panowie, którzy kupili ten wynalazek.

— Nie sir; nie jestem tak głupi, aby wyjawiać na czym polega tajemnica, jak długo mi za nią nie zapłacą. Mnie kupują, a razem ze mną ten schowek — znów dotknął ręką czoła — z całą jego zawartością. Ja dotrzymam przyrzeczenia — bez zastrzeżeń. A potem, zmienia się losy świata. — Zatarł ręce i roześmiał się szydersko.

— Proszę mi wybaczyć, sir — odezwał się Challenger, który siedział dotąd w milczeniu, ale którego wyrazista twarz oświadczyła, że Teodor Nemor zupełnie mu się nie podoba — ale chcielibyśmy przekonać się przed omówieniem sprawy, czy warta jest, aby o niej dysputować. Nie zapomnieliśmy jeszcze o owym Włochu, który twierdził, że może na odległość zapalać miny, a który okazał się oszustem. Historia może się powtórzyć. Pan wie, sir, że cieszę się sławą uczonego i to nie tylko w Europie — jak pan raczył nadmienić — ale i w Ameryce. Ostrożność winna cechować każdego uczonego, to też nie będziemy traktować poważnie pańskich słów, dopóki nam nie przedstawisz dowodów.

Żółte oczka Nemora spojrzały na mojego towarzysza z szczególną złośliwością, ale jowialny uśmiech jeszcze bardziej się uwydatnił.

— Jesteś pan godny sławy, jaką się cieszysz, profesorze. Mówiono mi, że pana nikt na świecie nie zdoła w błąd wprowadzić. Gotowy jestem zademonstrować mój wynalazek i przekonać pana o jego wartości praktycznej, ale wpiery muszę powiedzieć na czym polega jego zasada.

— Proszę uprzytomnić sobie, że to urządzenie, które mam w pracowni jest tylko modelem, chociaż model ten w swoim zakresie działa doskonale. Nie napotkałbym np. na żadne trudności, gdyby chodziło o rozłożenie pana na atomy i złożenie z powrotem, ale Rządowi, który zgodził się na zapłacenie mil jonowej ceny za mój wynalazek nie chodzi o takie drobnostki. Model mój jest raczej zabawką naukową. Tylko jeśli zastosuje się te same środki na wielką skalę, można osiągnąć olbrzymie rezultaty w praktyce.

— Czy możemy zobaczyć model?

— Nie tylko, że go pan zobaczy, profesorze Challenger, ale zademonstruję jego działanie na pańskiej osobie, jeśli tylko masz tyle odwagi.

— Jeśli! — lew zaczął ryczeć. — Pańskie „jeśli” jest obrazą.

— Dobrze, dobrze. Nie mam zamiaru dyskutować o pańskiej odwadze, chcę tylko powiedzieć, że dam panu sposobność przekonania się o wartości wynalazku. Ale wpierv wspomnę w kilku słowach, w jaki sposób można sobie wytłomaczyć działanie mojej maszyny.

— Kiedy pewne kryształy np. sól lub cukier znajdują się w wodzie, rozpuszczają się i znikają. Nikt nie pozna, że tam kiedyś były. Jeśli przez odparowanie lub w inny sposób zmniejszy pan ilość wody, pojawiają się znowu w takiej samej formie. Czy może pan wyobrazić sobie proces, którego wynikiem byłoby rozpuszczenie pana — istoty organicznej — w kosmosie, a potem złożenie na powrót w takich samych warunkach?

— Porównanie jest fałszywe — zawołał Challenger. — Gdybym nawet przyjął, że jakaś potworna siła zdołałaby rozłożyć nas na drobiny, skąd pewność, że złożyłaby je w takim samym porządku, jak przedtem.

— Słuszna uwaga, ale mogę tylko odpowiedzieć, że składa je właśnie w ten sposób. Każda cegiełka wpada na twoje miejsce w niewidzialnym rusztowaniu. Pan się uśmiecha, profesorze, ale wkrótce zapomnisz o nieufności i śmiechu.

Challenger wrzucił ramionami.

— Zgadzam się na próbę.

— Chciałbym zwrócić waszą uwagę, panowie, jeszcze na jeden fakt, który ułatwiłby wam zrozumienie mojego pomysłu. Słyszeliście zapewne o znanych w magji Wschodu i w Zachodnim okultyźmie *apportach*, kiedy jakiś przedmiot przyniesiony zostaje niespodzianie zdaleka i zjawia się na nowym miejscu. Zjawisko to wytłomaczyć można tylko rozłożeniem takiego przedmiotu na drobiny, które zostają przeniesione na falach eteru i złożone w takiej samej formie, jak przedtem, wskutek działania jakiejś przemożnej siły. Działanie mojej maszyny byłoby analogiczne.

— Nie można wyjaśniać zagadkowych rzeczy rzeczami, które są również zagadkowe — rzekł Challenger. — Nie wierzę w pańskie *apporty*, Mr. Nemor, równie jak w pańską maszynę. Czas mój jest drogi i jeśli chce nam pan coś zademonstrować, nie róbmy ceremonij.

— A więc proszę za mną — rzekł wynalazca. Zaprowadził nas na dół po schodach do małego ogrodu i do leżącego za nim domku, który otworzył. Weszliśmy do środka.

Wewnątrz był wielki, świeżo wybielony pokój z niezliczoną ilością drutów miedzianych zwisających w girlandach z sufitu i potężnym magnezem, umieszczonym na piedestale. Na wprost niego stał szklany pryzmat, długi na trzy stopy i mający stopę średnicy. Na prawo znajdowało się krzesło, ustawione na cynkowej platformie, nad którym wisiała tarcza z polerowanej miedzi. Zarówno od tarczy, jak i od krzesła odchodziły grube druty, a w kącie stało coś w rodzaju mechanizmu zegarowego, składającego się z zębatego kółka poruszanego przy pomocy gumowej rękojeści, którą można było przesunąć, w odpowiednie miejsca, oznaczone numerami. Rękojeść leżała na zerze.

— Desintegrator Nemora — rzekł ten dziwny człowiek, wskazując na maszynę.

— Oto model, który zyska kiedyś wiekopomną sławę, jako czynnik, który zmienił równowagę sił między mocarstwami. Właściciel jego trzyma w ręku losy świata. Odniosłeś się pan do mnie, profesorze Challenger, z pewnem — powiedziałbym — lekceważeniem. Czy odważy się pan usiąść na tem krześle i czy pozwolisz mi na zademonstrowanie na pańskim ciele działania nowej siły?

Challenger był odważny, jak lew i wszelkie złośliwe uwagi wprawiały go w szal. Chciał podejść do maszyny, ale chwyciłem go za ramię i powstrzymałem.

— Nie — rzekłem. — Pańskie życie, jest zbyt wartościowe. To potworne. Nie ma pan żadnej pewności bezpieczeństwa. Przyrząd ten dziwnie mi przypomina krzesło elektryczne do tracenia skazańców, które widziałem w Sing Sing.

— Mam pewność bezpieczeństwa — rzekł Challenger — gdyż jesteś świadkiem, któryby natychmiast oskarżył tego osobnika o zabójstwo, gdyby mi się coś stało.

— Byłoby to marną pociechą dla naukowego świata, gdyby pan umarł, pozostawiwszy tyle prac niedokończonych. Pozwól mi pan przynajmniej spróbować najpierw, a potem, kiedy doświadczenie okaże się nieszkodliwym, możesz pójść w moje ślady.

Niebezpieczeństwo osobiste nie przeraziłoby Challengego, ale myśl, że prace jego mogłyby zostać nieskończone, uderzyła go nieprzyjemnie. Zawahał się, a zanim odzyskał równowagę, podszedłem do krzesła i usiadłem na nim. Ujrzałem, że wynalazca położył dłoń na rękojęści. Usłyszałem słaby zgrzyt. Potem przez chwilę doznawałem dziwnego wrażenia; zakreśliło mi się w głowie, i zaćmiło w oczach. Kiedy się ocknąłem, wynalazca stał przede mną, uśmiechając się szydersko, a Challenger blady i zmieszany patrzył gdzieś w kąt pokoju.

— Dalej, zaczynajcie! — rzekłem.

— Już po wszystkim. Doświadczenie z panem udało się wspaniale — odparł Nemor. — Zejdź pan z krzesła, gdyż profesor Challenger zechce pewnie sam spróbować.

Nigdy nie widziałem mojego starego przyjaciela tak zmieszanego. Jego stalowe nerwy zawiodły go tym razem. Chwytał mnie za ramię drżącą ręką.

— Na Boga, Malone, to prawda — rzekł. — Zniknąłeś. To nie ulega wątpliwości. Widziałem przez chwilę mały obłoczek, a potem już nic.

— Jak długo mnie nie było?

— Dwie lub trzy minuty. Byłem, przyznam się, przerażony. Nie spodziewałem się, że wrócisz. Potem on przesunął dźwignię — jeśli to dźwignia — w inne miejsce i ujrzałem cię na krześle takim, jak zawsze. Odetchnąłem na twój widok — otarł pot z czoła ową ogromną czerwoną chustką.

— Teraz, sir — rzekł wynalazca. — może nerwy odmówiły ci posłuszeństwa?

Challenger opanował się z widocznym wysiłkiem. Potem, odsunawszy mnie na bok, usiadł na krześle. Rączka zatrzymała się pod numerem trzecim. Zniknął.

Gdyby nie zupełny spokój operatora, zdjęłaby mnie groza. — To interesujący proces, nieprawdaż? — zapytał. — Kiedy się weźmie pod uwagę potężną indywidualność profesora, trudno wierzyć, że jest on teraz chmurką molekułów, unoszącą się gdzieś w tym budynku. Jest on, rzecz prosta, zdany na moją łaskę. Gdybym chciał pozostawić go w takim stanie, żadna siła na świecie nie mogłaby mi w tym przeszkodzić.

— Ja jużbym się o to postarał.

Usta jego wykrzywiły się znów w szyderskim uśmiechu.

— Proszę nie sądzić, że coś podobnego miałem na myśli. Broń Boże! Pomyśl pan — profesor Challenger rozłożony na atomy i pochłonięty na stałe przez wszechświat To straszne! Straszne? Bądź co bądź jednak, możnaby mu dać nauczki. Cóż pan na to?

— Nie, nie życzę sobie tego.

— Dobrze, nazwiemy to ciekawą demonstracją. Będzie to tematem do interesującego artykułu. Przekonałem się, np., że włosy jako zależne od zupełnie odmiennych drgań eteru, jak reszta żyjących tkanek, mogą być włączone lub wyłączone zależnie od woli. Ciekawy jestem, jak wygląda niedźwiedź bez swoich kudłów. Patrz pan!

Usłyszałem zgrzyt dźwigni. W chwilę później Challenger siedział znowu na krześle. Ale jaki Challenger! Widok jego przypominał ostrzyżonego lwa. Jakkolwiek byłem wściekły, że splątano mu figła, zaledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Jego wielka głowa była łysa, jak u dziecka, a podbródek tak gładki, jak u dziewczyny. Doba część twarzy, pozbawiona zarostu przypominała kolano, podczas gdy cały jego wygląd upodabniał go do starego, wojowniczego gladiatora, pokonanego i złamanego na duchu, z szczękami buldoga ponad masywnym podbródkiem.

Być może, że sprawił to wyraz naszych twarzy — nie wątpię, że złośliwy uśmiech mojego towarzysza stał się jeszcze złośliwszym na ten widok — ale, bądź co bądź, Challenger dotknął ręką swojej głowy i zdał sobie sprawę ze swojego stanu. W następnej chwili zerwał

się z krzesła, chwycił wynalazcę za gardło i rzucił go na ziemię. Znając niezwykłą siłę Challengerera byłem przekonany, że go zabije.

— Na Boga! Bądź pan ostrożny! Jeśli go zabijesz, pozostaniesz łysy na zawsze! — zawołałem.

Ten argument przekonał go. Challenger nawet w napadzie wściekłości nie tracił zdolności rozumowania. Zerwał się z podłogi, podnosząc drżącego wynalazcę.

— Daję panu pięć minut czasu — wykrztusił rozniewany. — Jeśli w ciągu pięciu minut nie odzyskam dawnego wyglądu, zabiję cię, jak muchę.

Wszelkie dysputy z Challengerem były niebezpieczne. Najodważniejszy człowiek przestraszyłby się go w ataku furji, a Mr. Nemar nie grzeszył odwagą. Przeciwnie, pryszczki i brodawki na jego twarzy uwydatniły się jeszcze bardziej, kiedy kolor jej, przypominający zwyczajny kit, zmienił się na kolor rybiego brzucha. Drżał, jak osika i zaledwie mógł mówić.

— Doprawdy, profesorze — bełkotał, trzymając się ręką za szyję — nie potrzebuje pan uciekać się do gwałtu. To tylko niewinny żart. Chciałem zademonstrować siłę mojej maszyny. Przypuszczałem, że zależy panu na pełnej demonstracji. Nie miałem zamiaru obrażać cię, profesorze.

W odpowiedzi Challenger usiadł z powrotem na krześle.

— Uważaj na niego, Malone. Wypraszam sobie wszelkie poufałości.

— Dobrze, sir.

— A teraz napraw pan to, coś zrobił, inaczej będzie źle.

Przerażony wynalazca podszedł do swej maszyny. Siła jednocząca atomy zaczęła działać w całej pełni i w chwilę potem stary lew odzyskał swą kudłatą grzywę. Przesunął z czułością rękę po brodzie i podniósł ją do czaszki, aby się przekonać, czy nastąpiło zupełne odnowienie. Potem zeszedł uroczyście z krzesła.

— Pozwoliłeś sobie na żart, sir, który mógł mieć dla pana bardzo przykre następstwa. Ale przyjmuję pańskie usprawiedliwienie, że uczyniłeś to wyłącznie w celach demonstracyjnych. A teraz, chciałbym zadać panu kilka pytań w sprawie wykrytej — jakoby przez pana — potężnej siły.

— Gotów jest odpowiedzieć na wszystkie pytania, wyjąwszy skąd bierze się ta siła. To jest moją tajemnicą.

— I pan na serjo utrzymuje, że nikt na świecie nie zna jej oprócz pana?

— Nikt nie ma o niej najmniejszego pojęcia.

— Żaden pomocnik?

— Nie, sir. Pracuję sam.

— To bardzo interesujące. Przekonałeś mnie pan o istnieniu tej siły, ale nie rozumiem, jakie może być jej zastosowanie w praktyce.

— Mówiłem już, sir, że to tylko model. Ale zbudowanie przyrządu na wielką skalę nie przedstawia żadnych trudności. Model działa w kierunku pionowym. Pewne prądy w górze a inne w dole wywołują fale eteru, które albo rozkładają, albo jednoczą. Ale proces ten odbywać się może i na boki. Odpowiednio ustawiony przyrząd panować będzie nad daną przestrzenią, zależnie od siły prądu.

— Proszę o przykład.

— Przypuśćmy, że jeden biegun umieszczony jest w małym naczyniu, a drugi w innym, okręt wojenny między nimi rozpadnie się po prostu na drobiny. Podobny los spotka oddział wojska.

— I pan sprzedałeś ten wynalazek jednemu z Mocarstw Europejskich z prawem wyłącznego użytkowania?

— Tak jest, sir. Skoro mi zapłacą, staną się najsilniejszym państwem na świecie. Pan nie zdaje sobie nawet sprawy w jak różnorodny sposób wykorzystać mogą podobny wynalazek ludzie, którzy nie mają skrupułów. — Zła twarz naszego gospodarza wykrzywiła się w

obleśnym uśmiechu. — Wyobraź pan sobie dzielnicę Londynu, w której ustawiono takie maszyny. Pomyśl pan o skutkach działania odpowiednio silnego prądu. W istocie — parsknął śmiechem — możnaby oczyścić całą dzielnicę Tamizy i z tych milionów jej mieszkańców nie pozostałaby żywa dusza.

Słowa te przyprawiły mnie o dziwny lęk — a jeszcze więcej radosny ton, jakim zostały wypowiedziane. Ale na mojego towarzysza wywarły one, jak się zdawało, zgoła odmienne wrażenie. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu wybuchnął rubasznym śmiechem i wyciągnął rękę do wynalazcy.

— Muszę panu powinszować, Mr. Nemor — rzekł. — Nie ulega wątpliwości, że wykradłeś Przyrodzie tajemnicę, którą uda ci się wykorzystać dla dobra ludzkości. Przykra to rzecz, że wykorzystasz ją w celach destruktywnych, ale Nauka — nie zna uprzedzeń. Idzie tam, gdzie ją prowadzi wynalazca. Przypuszczam, że mimo zrozumiałych zastrzeżeń co do samego pomysłu, pozwoli mi pan na oglądnięcie maszyny, nieprawdaż?

— Proszę. Maszyna to tylko ciało. Duszy jej, ożywiającej ją zasady, tego pan nie zrozumie.

— Właśnie. Ale już sam mechanizm budzi podziw.. — Przez pewien czas oglądał ją, dotykając ręką poszczególnych części. Potem usiadł znowu na izolowanym krześle.

— Chce pan jeszcze raz wyruszyć w wszechświat? — zapytał wynalazca?

— Później, może później! Ale tymczasem, o ile mi się zdaje, coś jest nie w porządku. Czuję wyraźnie słaby prąd.

— Niemożliwe. Krzesło jest izolowane.

— Ale zapewniam pana, że czuję. — Podniósł się z krzesła. Wynalazca zajął jego miejsce.

— Nic nie czuję.

— Jak to? Nie czuje pan mrowienia w całym ciele?

— Nie, sir, nie czuję.

Usłyszałem słaby zgrzyt i człowiek zniknął. Spojrzałem ze zdziwieniem na Challengera. — Wielkie Nieba! Czy pan dotknął się maszyny, profesorze?

Uśmiechnął się do mnie dobrotliwie z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Mój Boże! Możliwe, że niechcący dotknąłem się rączki — rzekł. — W takim wypadku o nieszczęście nie trudno. Rączka powinna być ochroniona.

— Stoi na numerze trzecim. To miejsce, w którym następuje rozkład.

— Tak mi się zdaje.

— Ale byłem tak podniecony, kiedy pana sprowadził z powrotem, że nie widziałem, które miejsce odpowiada procesowi jednoczenia drobin. Czy pan tego nie zauważył?

— Być może, że zauważyłem, młodzieńcze, ale nie zaprzętałem swego umysłu takimi drobiazgami. Jest tu szereg zatyczek, a my nie wiemy, do czego służą. Nie możemy robić doświadczeń, nie znając przyrządu. Mogłoby z tego wynikać jakieś nieszczęście. Lepiej będzie, jeśli pozostawimy wszystko, jak jest.

— Pan chciałby...

— Właśnie. Tak będzie lepiej. Interesująca osobistość Mr. Teodora Nemora rozplynęła się w wszechświecie, jego maszyna niema wartości, a pewien Rząd cudzoziemski stracił możliwość wykorzystania do swoich, może nieczystych, celów, groźnego wynalazku. Spędziliśmy rano pracowicie, młodzieńcze. Pańska szmata uzyska bez wątpienia interesujący artykuł o niewytłomaczonym zniknięciu łotewskiego wynalazcy wkrótce po wizycie jej specjalnego korespondenta. Ja zrobiłem ciekawe doświadczenie. To jedna z jasnych chwil w monotonnym życiu uczonego. Ale trzeba pomyśleć z kolei i o obowiązkach. Wracam do Włocha Marottiego i jego zapatrywań na rozwój larw podzwrotnikowych termitów.

Oglądnałem się i przez chwilę wydawało mi się, że widzę wciąż jeszcze unoszącą się nad krzesłem oleistą mgłę. — Ale w tym wypadku ... — zacząłem.

— Pierwszym obowiązkiem szanującego prawa obywatela jest nie dopuścić do morderstwa — rzekł profesor Challenger. — Zrobiłem to. Dość, Malone, dość! Nie chcę dyskutować na ten temat. Zbyt długo zajmowałem się głupstwami.